

TERESA EWA OPOKA



POŁAWIACZKA
DUSZ

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2016

© Teresa Ewa Opoka, 2016

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka

Redakcja: Ilona Klimek

Korekta: Klaudia Adamus

Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce © Lia G/Arcangel Images

Skład: Lucyna Sterczewska

Cytaty z *Dziejów duszy* pochodzą z wydania:

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus, *Dzieje duszy*,

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych, Kraków 1984.

ISBN 978-83-277-1251-6

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

DRUK: OPOLGRAF • OPOLE

*Dla Oskara, Leona,
Lilki – Marianny*

Wszystko, o czym tu przeczytacie, wydarzyło się naprawdę. Opowiadałam o tym wielu osobom. Czasami ryzykowałam, ponieważ byli wśród nich nieznajomi, nie zdarzyło się jednak, by ktoś podał w wątpliwość moje słowa. Niektórzy przyjaciele zachęcali mnie, bym spisała tę historię, bo przecież jestem pisarką i nie sprawi mi to problemu.

„Nie jest to takie proste, jak by się wydawało” – odpowiadałam wymijająco. Od czasu do czasu myślałam jednak o tym, ale za każdym razem ogarniało mnie to samo wrażenie: stoję u podnóża wielkiej góry, tak wysokiej, że szczytu nie sposób dostrzec nawet przy najlepszej pogodzie. Jak miałabym się porwać na taką wyprawę? Wydaje mi się, że nie mam ani sił, ani gibkości, ani odwagi. Owszem, sporządziłam już notatkę, dołączyłam do niej kopertę zawierającą sześć wyników badań USG i wszystko to – podpisane słowem „cud” – zamknęłam w teczce z ważnymi dokumentami, żeby kiedyś moje córki i wnuki

odnowiły w rodzinnej pamięci tę historię i przekazały ją następnym pokoleniom.

Stało się inaczej, bo nasze pragnienia i plany są niczym wobec zamiarów niebios. Okazało się, że wraz z upływem lat wspomnienie Tego Wydarzenia, zamiast blednąć, stało się najjaśniejszym, centralnym punktem mojego życia. Coraz bardziej czułam, że rodzina i znajomi to zbyt mały krąg odbiorców. Wielokrotnie dodawałam sobie otuchy: „Nie bój się. Idź. Chociaż spróbuj”. Wreszcie, po osiemnastu latach, podjęłam decyzję.

Wyobrażam sobie, że zaprosiłam do siebie mnóstwo ludzi: siedzą na kanapie, krzesłach, taboretach, na łóżku w sypialni, która jednocześnie pełni rolę gabinetu. Z największą starannością, na jaką mnie tylko stać, pragnę opowiedzieć, co się stało. To Wydarzenie, które błyszczą, lśni, mieni się wśród codziennych szarych wydarzeń, powinnam i będę zapisywać dużymi literami. Podczas pisania postanowiłam zachować najwyższą dyscyplinę; nie mam zamiaru niczego dodawać ani też niczego ujmować. Czuję tremę, brak mi tchu. Na czym polega trudność? Nie jest łatwo zajmując opowiedzieć nieciekawe

życie, w którym zaledwie raz zdarzyło się coś nadzwyczajnego, a poza tym było kilka rzeczy zaskakujących i może kilkanaście zadziwiających. Muszę jednak zmierzyć się z tym wyzwaniem, żeby nie bać się śmierci, ponieważ im jestem starsza, tym częściej wewnętrzny głos powtarza mi, że po przejściu na drugą stronę usłyszę pytanie: „Jak mogłaś o tym nie napisać?”.

1

Gdy w moim radomskim mieszkaniu odwiedzają mnie goście, zwykle pytają, kim jest ta młodziutka, śliczna dziewczyna na czarno-białej fotografii. Zachęcając do zgadywania, zwlekam z odpowiedzią. Przyglądają się. Bujne włosy zebrane do góry, przy staroświeckiej sukni ze stójką błyszczą złota lub srebrna broszka w kształcie kwiatka, a w uchu malutki kolczyk. Zwykle odpowiadają:

- Może twoja babcia?
- Nie.
- Mama?
- Nie.
- Jakaś kuzynka?
- Nie. To święta Teresa od Dzieciątka Jezus.
- Tak wyglądała święta? – nie skrywają zaskoczenia. – Dziecko niemal!

Lubię te zaskoczenia. Fotografie Tereski od Dzieciątka Jezus przywiozłam z pielgrzymki do Lisieux w 2011 roku, oprawiłam ją w ramki i powiesiłam nad swoim biurkiem. Święta patrzy na mnie, uśmiechając się leciutko. Kocham ją z całego serca jak rodzoną siostrę, jak najdroższą przyjaciółkę. Modłę się do niej, rozmawiam z nią i proszę ją o pomoc w trudnych chwilach.

Przez ostatnie trzy lata narastało we mnie wrażenie, że spogląda na mnie z fotografii z wyrzutem, jakby mówiła: „Napisz o tym, co ci się przytrafiło. Ilu ludziom opowiedziałas o Tym Wydarzeniu? Kilkudziesięciu? A oni ilu osobom przekazali tę historię? Kilkudziesięciu? Powinny dowiedzieć się tysiąc”. Wiem. Tylko jak to zrobić? Wreszcie dotarło do mnie, że zostało mi już mało czasu, mogę odejść z tego świata w każdej chwili. Coraz częściej uczestniczę w pogrzebach znajomych, którzy odeszli, mając mniej lat ode mnie. Nie śmierci się boję (ten lęk prawie nie istnieje, gdy dzieci są dorosłe), lecz nieuniknionych rozliczeń. Moje myśli zaczęły więc krążyć coraz częściej wokół tej książki. Wreszcie postanowiłam, że spróbuję. Kupiłam w kwaciarni różę – niezupełnie białą, u nas bowiem

rzadkością są śnieżnobiałe, we Francji widziałam natomiast ich zatrzęsienie – wszystkie były bieleńkie i dorodne. Z lekko różową różą złożyłam więc wizytę świętej Tereni w kościele pod jej wezwaniem na osiedlu Borki w Radomiu, gdzie w bocznym ołtarzu, u stóp drewnianej rzeźby, znajdują się w malutkiej monstrancji relikwie mojej patronki.

Najpierw zwróciłam się do niej z pytaniem, czy zdołam napisać tę książkę. Odniosłam wrażenie, że usłyszałam pozytywną odpowiedź.

2

Opisywana przeze mnie historia wydarzyła się osiemnaście lat temu. Leżałam bardzo chora, kiedy zadzwonił telefon. Mimo że od żadnego telefonu nie mogło mi się poprawić i nie czekałam na żadną wiadomość, musiałam się podnieść, a raczej zwlec z łóżka, przejść przez połowę pokoju, mały przedpokój i jeszcze kawałek dużego przedpokojku, żeby podnieść słuchawkę. Były to czasy, gdy komórka kojarzyła się wyłącznie z ciemną szopą bez okna i ze spadzistym dachem pokrytym papą, z miejscem, gdzie trzymano węgiel. Dzwoniła mama, która mieszkała na drugim końcu miasta. Chciała mnie powiadomić, że jutro o godzinie szóstej rano (o szóstej rano!) w kościele w jej dzielnicy zostanie odprawiona msza za dusze mojego taty i mojego brata

Tomka. Wyobraziłam sobie kwietniowy, zimny świt. Aby dotrzeć na czas, musiałabym wstać po piątej. Usiłowałam ją przekonać, żeby mnie zwolniła z tego obowiązku, pozwoliła mi otulić się kołdrą i pozostać w ciepłym łóżku. Nic z tego.

– Czy myślisz, że jeśli nie przyjdiesz, to będziesz zdrowsza? – zapytała poirytowana.

– Mamo, bardzo źle się czuję.

– Przecież wiem, ale postaraj się. Są rzeczy ważniejsze niż twoja choroba.

Zrozumiałam, że nie mam co liczyć na współczucie.

– Muszę wracać do łóżka. Do widzenia.

I znowu okazało się, że jestem niedobrym i nieposłusznym dzieckiem. Było nas w domu czworo: najstarsza siostra Ela, następnie dwaj bracia – Andrzej i Tomek, i ja, najmłodsza. Przez całe życie podejrzewałam, że dla mamy byłam dzieckiem najmniej udanym, nieustannie przysparzającym jej kłopotów. Martwiła się o mnie i często stawiała mi za wzór do naśladowania moją starszą siostrę lub brata Andrzeja. Tomka raczej nie, ponieważ do niego również miała mnóstwo zastrzeżeń.

Mogłam użyć jeszcze wielu innych argumentów – razem z tym najważniejszym: że w przyszłym tygodniu idę do szpitala na operację – nie chciałam jednak wymuszać na niej zrozumienia i współczucia. To ja powinnam czuć się winna, bo jestem niedobrym dzieckiem. Nie miało żadnego znaczenia to, że moja mama miała prawie dziewięćdziesiąt lat i była staruszczką kruchą jak uschnięta gałązka. Jej władza z wiekiem nie słabła, a ona sama nie miała zamiaru abdykować. Skończyłam czterdzieści dziewięć lat i drżałam na samą myśl o jej niezadowoleniu; zupełnie jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką.

Nie lubię uzalać się nad sobą, a jednak byłam rozgoryczona. A kto by nie był? To przykre, gdy matka okazuje się tak zasadnicza, że nie potrafi się ugiąć i ustąpić wobec poważnej choroby córki. Nie czekałam na pochwały za to, że udało mi się tak ciężko i nagle zachorować, lecz potrzebowałam odrobiny współczucia. Moja mama miała serce pełne miłości i dobroci. Niestety, nie potrafiła tego okazać, ponieważ jej matka, a moja babcia, Katarzyna, zmarła w wieku trzydziestu czterech lat, dlatego moja mama dzieciństwo spędziła

na psychicznej Antarktydzie, podobnie zresztą jak moje cztery ciotki.

Najstarsza Zosia miała wówczas dziesięć lat, moja mama Marysia dziewięć, Stasia pięć, Agnieszka dwa latka, a najmłodsza Bronia niecały roczek. Mój dziadek Jakub nie potrafił się pogodzić z utratą ukochanej żony i wpadł w ciężką depresję. Mama i ciotki opowiadały, że nocą wychodził z domu i szedł na pobliską górkę, przez którą wiodła ścieżka do położonego po drugiej stronie Pińczowa, żeby tam móc głośno płakać i wykrzykiwać swoją rozpacz. Nie ożenił się, jak to zwykle czynią w takich przypadkach owdowiali mężczyźni, aby zapewnić opiekę dzieciom, a sam również nie potrafił o nie właściwie zadbać. Nie jest to niczym wyjątkowym – wiele razy słyszałam o ojcach, którzy ze względu na miłość do dzieci godzili się z losem. W środowisku nazywano go mecenasem. Cieszył się poważaniem. Zwracano się do niego, kiedy trzeba było napisać podanie do sądu lub jakiegoś urzędu. Robił to profesjonalnie, mimo że nie miał specjalnego wykształcenia. A jakie konkretnie miał? Tego nie wiem. Dlaczego nie wiem? Bo nie chciałam wiedzieć, podobnie zresztą jak moje

rodzeństwo – rodzone i cioteczne. Uciekaliśmy, gdy nasze matki się spotykały i rozpamiętywały swoje dzieciństwo. Żaliły się, że jako sierotom nie dano im szansy na ukończenie szkół; tylko najmłodsza Bronia chodziła do liceum medycznego w Warszawie. Dziadek Jakub był zamożnym człowiekiem – przywiózł z Rosji sporo złotych rubli, zwanych popularnie świnkami, a dorobił się na handlu, podobnie jak wielu przedsiębiorczych Polaków w tamtym okresie. Czym konkretnie handlował? Nie wiem – uciekałam, nie chcąc słuchać. Domyślam się, że podobnie jak Wokulski sprzedawał skóry, futra i może coś jeszcze. Później ta zgromadzona fortuna została ukradziona. Dziadek miał fantastyczne plany – przede wszystkim zakup kamienicy w Krakowie. Jednej, a może nawet dwóch. Nie chciałam słuchać opowieści o tym, jak ścigał cygański tabor po ziemiach polskich. Wydarzyło się to feralnej nocy, kiedy Cyganie rozbili obóz w pobliżu domu dziadka. O świcie już ich nie było. Tak stracił swój majątek. Szukał ich prawdopodobnie aż do 1914 roku, kiedy to wybuchła wojna światowa. Z następną tragedią – jeszcze większą, bo śmiercią żony – dziadek zupełnie nie potrafił

sobie poradzić. Opiekę nad gromadką dzieci sprawowała dziesięcioletnia Zosia. Dziadek często wyjeżdżał, wciąż z kimś się sądził i kawałek po kawałku tracił swój majątek. Sady, które jeszcze niedawno rodziły dorodne i smaczne owoce, niedopilnowane i niepielegnowane, powoli dziczały. (Jeden z moich ciotecznych braci – Witold z Krakowa, syn ciotki Stasi – przez długi czas namawiał mnie, bym spisała historię mojej rodziny ze strony matki. Deklarował, że pomoże mi zbierać materiały, i nie mógł pojąć, dlaczego najpierw musiałabym wyrwać sobie serce).

Zadzwoiłam do starszej siostry z prośbą, by pomogła mi ustalić wiek ciotek w chwili, gdy zmarła babcia. Rozmawiałyśmy też o dziadku.

– Ależ dziadek chciał się żenić – odparła, gdy zagadnęłam, że to dziwne, iż nie poszukał odpowiedniej kobiety, która zaopiekowałaby się dziećmi, a przecież był bardzo przystojnym mężczyzną. – To dziewczynki się zbuntowały i protestowały, gdy wyjawiał im swój zamiar. Nie chciały nikogo na miejsce swojej mamusi. I dziadek się wycofał. Prawdopodobnie, gdyby naprawdę chciał i był zakochany, nie zważałby na protesty córek.

– Szkoda – powiedziałam.

– Szkoda – zgodziła się.

Dziewczynki, gdy tylko podrosły, wyfrunęły w świat – niektóre z nich nawet nie ukończyły jeszcze osiemnastu lat. Były przeświadczone, że przecież „wszystko musi się dobrze skończyć”, bo całkowicie zaufały Bogu i powierzyły Mu każdą chwilę swojego życia. I żadna się nie zawiodła. Pamiętam, że moja mama często powtarzała stary wiersz, który zaczynał się od słów: „Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa, tak mówili starzy...”.

Pięć królewien śniegu wyrosło na piękne panny i szybko pojawili się chłopcy chętni do rozgrzewania ich zlodowaciałych serc. Udało się to im tylko w jakiejś części, dlatego mama i ciotki wychowywały swoje dzieci w chłodnym klimacie. Dobrze, że dla równowagi mój ojciec był zawsze uśmiechniętym i pełnym radości lekkoduchem.

3

Pamiętam taki obraz. Jestem u ciotki Stasi w Nowym Targu. Siedzimy z o sześć lat młodszą ode mnie cioteczną siostrą Zenusią przy oknie w kuchni i z czegoś się zaśmiewamy. Jesteśmy bardzo młode. Ciotka przygląda nam się w zadumie przez dłuższą chwilę i w końcu mówi:

– Wszystko jest jedną krótką chwilą. Tylko przez moment będziecie młode i ładne. To przeminie. I młodość, i beztroska. Za moment poczujecie się stare. Zobaczycie. Wspomnicie moje słowa.

Przestałyśmy się śmiać i zaskoczone patrzyłyśmy na jej masywną postać w workowatej sukience. Jaki moment? Przed nami całe życie. Co ona opowiada? Zazdrości nam? Starsza kobieta – wtedy wydawała mi się stara, a ciocia miała

około pięćdziesięciu lat – która dopuściła do tego, by jej uroda została zalana przez grubą warstwę tłuszczu. Nie. Teraz wiem, że miała rację. Wca-
le nie chciała nam przekazać kolejnej mądrości, że życie szybko przemija, a młodość jest zaled-
wie chwilką. Pragnęła nas przygotować na za-
pasy z życiem, które wcale nie będzie miłe ani
łatwe, a może też przynieść tragedie. Wszystko
to jednak jest niczym, bo szybko przeminie: i to,
co dobre, i to, co złe.

Jej starsza córka Krystyna wyszła za mąż i już
od kilku lat mieszkała w Ameryce. Jako nastolat-
ka poważnie chorowała i często trafiała do szpi-
tala. Pewnego razu ciotka dała jej wybór: „Albo
wyzdrowiej, albo umrzyj”. Oto przykład, jeden
z wielu, wrzucania swojego dziecka w przere-
bel. Krystyna nie miała do niej żalu o te słowa,
a może i miała, ale powtarzała je z uśmiechem
i nie musiała nic więcej tłumaczyć. Po prostu
taka była jej matka. Ciotka Agnieszka podobnie
traktowała swoje dzieci: Ryśka, Heńka, Jadzię
i Krysię. Ciotka Zosia z kolei miała dwóch synów,
Stasia i Sławka. Wychowała ich na twardych,
porządnych mężczyzn, dla których matka była
świętością. Podejrzewam, że i oni byli podobnie

traktowani przez swoją matkę. Jedyne cioci Broni, mieszkającej w Ameryce, fatalnie ułożyły się relacje z córką Ewą. Moja mama spędziła tam około roku i opowiadała, że dochodziło między nimi do strasznych awantur, co było nie do pomyslenia u nas w domu ani u żadnej z ciotek.

– Jak ona krzyczała, wyzywała Bronię – opowiadała mama, załamując ręce. – Bronia powiedziała mi: „Dobrze, że nie rozumiesz po angielsku, bo nie zniosłabyś takich słów, strasznych i obrzydliwych. Nie mogę ich przetłumaczyć, bo nie ma takich wyrażen i przekleństw w języku polskim”.

Dlaczego tak się nie znosiły? Ciotka na pewno kochała Ewę, a z jakiego powodu ona tak nie cierpiała swojej matki? Czy był to bunt przeciwko wrzucaniu w przerębel? A może odwrotnie? Matka od wczesnego dzieciństwa ustępowała jej we wszystkim, nie stawiając żadnych granic, bo tak wyobrażała sobie matczyną miłość, której sama nigdy nie zaznała. Już się nie dowiem. Mama nie żyje, ciocia Bronia też odeszła. Ewa, owszem, nadal mieszka w Ameryce, ale przecież nie zapytam kobiety, która ma już wnuki, dlaczego tak strasznie pomiała swoją matką.